

GRZEGORZ WIELGUS



PIEŚŃ
PUSTYNI

OSTRZE ERKAL – TOM 1

Copyright © 2023 GRZEGORZ WIELGUS
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Projekt okładki i dtp: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARŻĄB

Fotografie użyte na okładce: ARCANGEL / CRISTIAN BAITG SCHREIWEIS

SHUTTERSTOCK

WYDANIE I

ISBN 978-83-67545-21-1



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

GRZEGORZ WIELGUS

PIEŚŃ
PUSTYNI

OSTRZE ERKAL – TOM 1

*Specjalne podziękowania dla pewnego Lisa
i Kasi Wierzbickiej za wsparcie i bezlitosne wytykanie błędów.*

Kaya, dzięki za zupę!



KRAKÓW 2023

Rozdział I

Zabij albo giń

Zirra

Uciekała, a jeźdźcy gnali jej śladem. Kula przemknęła obok głowy Zirry z paskudnym gwizdem, trafiła w stok wydmy i wyrzuciła w powietrze fontannę piachu.

Niech to wiatr!

Biegła prosto w zalaną słońcem dolinę pomiędzy barchanami. Wbijiała palce w rzeźbione łoże muszkietu i zaciskała zęby, przygotowując się na uderzenie kuli. Któryś z rajtarów musiał w końcu ją trafić. To była kwestia czasu. Prędeż czy później poczuje tępe uderzenie między łopatkami i metaliczny smak krwi w ustach. Nie mogła uciekać bez końca. Musiała walczyć.

Albo umrzeć.

U podnóża wydmy spod piachu wyrzywały się mury ogromnej budowli. Spękany masyw szarych skał, zwieńczony guzami metalowych kopuł, lśniących w słońcu niczym łuski cierniozęba. Zirra nigdy nie widziała czegoś tak wielkiego. Ruiny liczyły sobie dobre pięćset kroków długości, a przynajmniej ta część, która przebijała bok wydmy, teraz jednak ich wymiary nie miały żadnego znaczenia. Ważna było tylko jedna rzecz. Mury mogły powstrzymać kule.

Pod warunkiem że Zirra zdąży do nich dobiec. Płuca paliły ją żywym ogniem, każdy oddech był torturą, ale nie zwalniała. W myślach liczyła kroki dzielące ją od ruin.

Osiemdziesiąt, siedemdziesiąt, sześćdziesiąt. Każda dziesiątka zdawała się dłuższa od poprzedniej.

Za jej plecami rajtarzy kłusowali w dół wydmy na swoich przeklętych koniach i najwyraźniej traktowali polowanie na samotną Pustynną jako doskonałą rozrywkę.

– Strzelaj w nogi! – dobiegł ją ochryply wrzask. – Będzie z nią jeszcze zabawa!

Pięćdziesiąt.

Suchy trzask wystrzału przetoczył się ponad grzbietami diun. Kula przebiła szaty Zirry i zostawiła na jej udzie smugę krwi oraz strzępki pocerniałej skóry. Pustynna zachwiała się, zgubiła rytm, ale nie upadła. Musiała biec dalej. Zasady tego wyścigu były proste – przegrani będą nagrodą dla zwycięzców.

– Uwielbiam, kiedy uciekają! – krzyknął drugi rajtar wysokim, łamiącym się od emocji głosem.

Zirra dopadła ruin w ostatniej chwili. Przeskoczyła pomiędzy okaleczonymi przez wiatr bryłami szarego kamienia i skuliła się za resztkami niskiego muru. Moment później kula odłupała kawałki skały w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się dłoń Pustynnej.

Wzięła głęboki oddech. Na moment przymknęła białe oczy. Kciukiem odciągnęła kurek. Znajomy szcęk metalu uspokoił ją niczym głos przyjaciela, na którym zawsze mogła polegać. Erkal, bezkresna pustynia, nie tolerowała słabości. Tym miejscem rządziła prosta reguła, zabij albo giń, a Zirra nie miała zamiaru umierać tego dnia. Jeszcze nie.

Na zabijaniu natomiast znała się całkiem dobrze.

Wychyliła się zza muru. Długa, bogato zdobiona lufa muszkietu zalśniła w słońcu i skierowała się w stronę barchanu. Pustynna wzięła na cel rajtara po prawej. Jechał na siwym koniu w dół wydmy z masywnym pistoletem w dłoni. Kawale-

rzysta złożył się do strzału, pochylił nieco głowę i wycelowwał broń w stronę Zirry. Ale ona była szybsza.

Muskiet plunął ogniem i dymem, a moment później gardło rajtara eksplodowało czerwienią. Jeździec zachwiał się, opadł na koński zad. Pistolet wypadł z bezwładnej dłoni i wypalił w piach. Huk obydwu wystrzałów zlał się w jeden grzmot, niosący się echem ponad wydmami.

Pustynna nie miała czasu ponownie nabić broni. Skuliła się za murem i wyszarpnęła czekan zza skórzanego pasa. Ponad jej głową przemknął cień. Czarny koń przeskoczył nad murem i opadł z łoskotem kopyt na spękany kamień. Rajtar sprawnie zawrócił rumaka, wbił ostrogi w boki zwierzęcia i ruszył do ataku z wysoko uniesionym mieczem.

Zirra nie widziała wykrzywionej wściekłością twarzy pod metalowym daszkiem szturmaka ani oblepionego pianą końskiego pyska. Skupiła się na długiej klindze, srebrzystej błyskawicy, która mknęła w kierunku jej twarzy. Zastawiła się okutym trzonkiem nadziejaka, ale siła uderzenia sprawiła, że od nadgarstków po ramiona przebiegł ją dreszcz bólu. Drugie cięcie zmusiło ją do ugięcia kolan. Zraniona noga paliła żywym ogniem. Atakujący z wysokości siodła rajtar mógł swobodnie zadawać potężne ciosy i nie zamierzał marnować tej przewagi. Smukłe ostrze miecza migotało w słońcu niczym kąsająca żmija, nie dając Pustynnej szansy na kontrę. Jeździec uśmiechnął się paskudnie i uniósł ostrze do kolejnego ciosu. Był pewny swego.

Zirra jednak, dopóki oddychała, nie zamierzała się poddawać. Była córką Erkal, równie zajadłą i pełną determinacji, co pustynny lis. Zanim klinga opadła, zanurkowała pod końskim brzuchem. Jeździec obrócił głowę, szukając wzrokiem przeciwniczki. Dostrzegł ją za późno. Zirra uderzyła nadziejakiem w nogę rajtara, chcąc ściągnąć go z siodła. Chybiła. Metalowy

dziób o włos minął cholewę buta, przebił popręg i wgryzł się głęboko w czarny bok rumaka. Oszałałe z bólu zwierzę odskoczyło na bok, zaczęło wierzgać i przeraźliwie rzeć. Zaskoczony rajtar wypuścił ostrze z dłoni i oburącz chwycił się łęku. Ranny koń stanął dęba, pluł różową pianą, wywracał opętańczo oczami. Wtedy naderwany popręg pękł z trzaskiem i kawalerzysta runął ciężko na plecy wraz z siodłem.

Teraz!

Zirra skoczyła naprzód, gotowa dobić przeciwnika i szybko skończyć walkę. Nie mogła sobie pozwolić na przeciąganie starcia z wypoczętym kawalerzystą, którego na dodatek chronił pancerz. Biegła bez odpoczynku przez ostatnie dwadzieścia wydm i potknęła się tylko raz, ale szczęście nie mogło jej ciągle sprzyjać. W istocie wyczerpało się już przy następnym kroku. Zawadziła stopą o przysypany piachem kawał szarej skały. Zachwiała się i uczepiła sterczących z kamienia metalowych prętów, odzierając przy tym dłoń do krwi.

Rajtar zdołał dźwignąć się na kolana i wyciągnął z olstra nabity pistolet. Tym razem nie zamierzał jedynie zranić Zirry. Wycełował jej w twarz, prosto między białe oczy. Pustynna wstrzymała oddech, wzięła zamach czekaniem i uderzyła na oślep.

Czas zwolnił, odkształcił się niczym rozpalona do czerwoności wstęga metalu.

Zirra patrzyła wprost w czarną gardziel lufy. Zamek pistoletu zaczął się kręcić z upiornym, metalicznym wizgiem. Proch na panewce rozkwitł pomarańczą oraz szkarłatem niczym ognisty kwiat. Nadziak uderzył w lufę pistoletu, spychając ją na bok. Zirra zdążyła jeszcze zacisnąć powieki, nim omiotła ją fala gorąca. Coś parzącego smagnęło ją w ukryty za materiałem

policzek. Snop iskier trafił w czoło Pustynnej, chmura gryzącego dymu wdarła się do gardła i nozdrzy. Zapachniało palonymi włosami.

Muszę walczyć, muszę wrócić do domu, przebiegło jej przez głowę. Zmusiła się do uniesienia nadziei do kolejnego ciosu, ale była już śmiertelnie wyczerpana. Nawet płonąca niczym ogień determinacja potrzebowała paliwa, a ona nie miała już czym jej karmić. Nie zdążyła zablokować uderzenia.

Pięść w skórzanej rękawicy grzmotnęła ją w brzuch i wybiła powietrze z płuc. Drugi cios trafił Zirre w skroń. Przez moment widziała tylko ciemność. Spadała. Kiedy otworzyła oczy, leżała już na piasku. Czekan spoczywał tuż poza zasięgiem jej palców. W ustach czuła krew. Próbowała podnieść się na kolana, ale kopniak posłał ją z powrotem na twarde, chropowaty kamień.

– I po co było uciekać? – wydyszał rajtar. Podrzucił pistolet w powietrze i chwycił go za dymiącą lufę. Rękojeść broni zakończona była okutą gałką, idealnie nadającą się do łamania kości. – Nie lubię spoconych kobiet.

Zirra chwyciła w dłoń garść piachu i sypnęła nim w oczy żołnierza. Oślepiła go tylko na chwilę, ale chwila była wszystkim, czego potrzebowała. Rzuciła się w bok i wyciągnęła rękę po nadziei.

– Ty durna su...

Zakrzywiony kolec trafił rajtara w kostkę i strzaskał kość z nieprzyjemnym chrupnięciem. Mężczyzna zachwiał się, próbując zachować równowagę, ale zraniona noga nie była w stanie utrzymać jego ciężaru. Ze szczękiem pancerza runął na bok, wzniecając chmurę drobnego piachu.

Zirra dźwignęła się na drżące nogi. Po jej twarzy spływała krew, przesiąknięta czerwienią zasłona z każdym oddechem lepiała

się do warg, żebra rwały paskudnie. Przydepnęła dłoń żołnierza, przygniatając pistolet do splekanego kamienia. Rajtar pisnął żałośnie i uniósł ramię w obronnym geście, ale znieruchomiał, gdy zobaczył nad sobą zakrwawiony dziób nadziaka. Bursztynowe oczy chłopaka otwarły się szeroko, pociekły z nich łzy.

Pustynna zawahała się. Resztki podniecenia wyparowały z jej mięśni niczym rosa na pustyni. Pozostało tylko znużenie. Nienawidziła Dominium, ale teraz przed sobą miała jedynie przerażonego szczeniaka w za dużym pancerzu i niedopasowanych rękawicach. Nieledwie dziecko. Miał zwyczajną, nawet przyjemną twarz, którą nieco szpecily czerwone plamki, pozostawione przez żądła pustynnych insektów. Ze swoją jasną cerą oraz delikatną twarzą przypominał raczej skrybę niż żołnierza. Nie wyglądał na mordercę, ale kto wygląda? Jeszcze przed momentem ten chłopak gotów był zatłuc ją rękojeścią pistoletu.

Zabij albo giń.

Rajtar zadrzał po raz ostatni, gdy metalowy dziób przebił mu gardło i zgrzytnął o kręgosłup. Dysząc ciężko, Zirra wyrwała zbryzgany krwią nadziak z ciała zabitego. Przeszła chwiejnie kilka kroków, z pięściami przyciśniętymi do boleśnie pulsującej głowy. Nie mogła patrzeć na zwłoki, na te martwe oczy i rozchylone wargi, w których uwiązał ostatni krzyk o liłość. Oparła się o nagrzaną od słońca metalową kopułę, walcząc z nudnościami. Zwymiotowałyby, gdyby miała czym.

– Mało brakowało – wykrztusiła, dotykając czoła. Brew, spalona na popiół, przylepiła się do spoconej dłoni. – Zbyt mało.

Uspokoiwszy oddech, zmusiła się, aby spojrzeć na zabitego rajtara. W pierwszej chwili po śmierci, przed rozpoczęciem ostatniej podróży, gdy ciało jest już martwe, a dusza wciąż próbuje wyrwać się z martwej skorupy, każdy człowiek zasługuje

na dobre słowo. Przyjaciel czy wróg, bez różnicy. Nawet chłopak, który wypalił jej w twarz z pistoletu. Zirra nie powinna go żałować, ale nie czuła też żadnej satysfakcji na widok bladej twarzy, wykrzywionych ust i zesklonych oczu patrzących tępo w stalowy błękit nieba. Tylko pustkę. Walka nie decydowała o tym, kto miał rację, tylko o tym, kto przetrwał.

Tym razem była to ona.

– Niech to wiatr – mruknęła pod nosem.

W przeciwieństwie do Dominium ona nie walczyła z martwymi.

Pustynia Erkal nie miała podobnych rozterek. Powoli, niczym osobiwe pnącze, smuga piasku wspięła się po szyi zabitego i zaczęła spijać wypływającą z gardła krew.

– Oby wiatry były dla ciebie pomyślne – powiedziała Zirra.

Ledwie dostrzegalny opar uniósł się z ust i oczu chłopaka, po czym rozwiął się w nicość niczym dym zdmuchniętej świeczki. Zirra klęknęła przy zabitym. Poluzowała rzemienie hełmu i obwiązała głowę rajtara kawałkiem tkaniny. Nie należało zostawiać pustynnym demonom drogi na dostanie się do martwego ciała. Ruszyła w górę wydmy, pozostawiając po sobie ciąg głębokich śladów, i oddała ostatnią posługę drugiemu kawalerzyście. Nie miała chęci spotkać się ponownie z tą dwójką. Pierwszy raz jej w zupełności wystarczył.

Dopiero po tym obwiązała dłoń oraz zranione udo kawałkami czystej tkaniny i rozejrzała się po okolicy. Dolina pomiędzy wydmami była przerażająco cicha. Na pustyni brakowało szumu traw, klekotu gałęzi i szmeru wody. Rozpalone słońcem powietrze drżało, wiatr strącał ze szczytów barchanów smużki piachu, zwiastując nadchodzącą zmianę pogody. Ruiny wylaniały się z pustyni niczym szkielet ogromnego, przedwiecznego

stworzenia. W niczym nie przypominały otoczonego murem Kazaru czy dominiońskich twierdz. Gigantyczny masyw szarego kamienia przywodził na myśl ogromny sarkofag, pokryty płaskimi kopułami z litej stali. Zwietrzałe ściany zostały przecięte bliznami po uderzeniach, a niektóre fragmenty muru zamieniły się w sterty gruzu, jakby forteca stawiała niegdyś czoła przerażającej furii. I przegrała.

Zirra zsunęła zakrwawioną tkaninę z twarzy.

– Niemożliwe – mruknęła, dotykając dłonią obolałego boku. – Raczej nie śnię, więc...

Zmrużyła otoczone czernidłem oczy, podążyła wzrokiem za odbitymi w piachu śladami kopyt. Rajtarski koń stał w cieniu ruin, cierpliwie czekając, aż ludzie skończą się zabijać i zabiorą go z tego przekłętego, pozbawionego wody oraz zieleni miejsca.

– Jeden koń jest tam. Gdzie się podział ten drugi?

Ciała rajtarów powoli tonęły w piasku. Pustynia czule objęła zabitych i wysysała każdą drobinę wilgoci z ich zwłok. Erkal wyczuwała śmierć. Żywiła się wszystkim, co umarło w jej objęciach, pozostawiając jedynie bielejące w słońcu kości. Pustynia żyła. To była pierwsza rzecz, której nie byli w stanie zrozumieć zdobywcy z Dominium i bynajmniej nie ostatnia.

Zirra dostrzegła poruszenie pomiędzy metalowymi kopułami. Piasek wił się niczym wąż, pełznący śladem krwawych rozbryzgów pozostawionych przez zranionego rumaka. Trop urywał się przy czarnej dziurze ziejącej w szarym sklepieniu ruin.

– Wpadł do środka.

Zirra ściągnęła z pleców torbę z wołowej skóry. Zapłaciła za nią małą fortunę wędrownemu kupcowi ze wschodu, ale sakwa była warta swej ceny, podobnie jak jej zawartość. Pustynna

wyciągnęła z wnętrza torby pakunek otulony szorstką, welnianą tkaniną. Wydobyła z zawiniątka grubą, kwadratową tafłę szkła, po czym skierowała ją w kierunku ruin.

– Szybciej. Nie będę tutaj sterczała do zmierzchu – mruknęła przez zaciśnięte zęby.

Tafla gwiazdoszka nie należała do lekkich. Szkielnicy zwykle korzystali ze sztalug, aby uwiecznić swoje obrazy, ale Zirra nie miała zamiaru biegać po pustyni z trójnogiem, kiedy mogła zabrać ze sobą dodatkowy zwój liny albo bukłak z wodą.

Fulguryt w końcu zaczął się nagrzewać. Na powierzchni szkła pojawiły się czarne linie, które zaczęły układać się w zarys ruin oraz wyrastających w oddali skalistych szczytów. Zirra ustawiła się w taki sposób, żeby uchwycić na tafli Sannu i Czarną Grań, dwie charakterystyczne góry, które pomagały w orientacji na wiecznie zmieniającym się oceanie pustyni. Niektórzy nazywali je Siostrami Opiekunkami i upierali się, że dostrzegali w stromych urwiskach zarys ludzkich postaci. Zirra miała na ten temat zupełnie inne zdanie. Widzenie twarzy w skale uznawała za wynik nieznośnej lekkości w butelce. Albo trzech.

Opuściła gwiazdoszkło, na którym został uwieczniony kolorowy obraz pustynnego krajobrazu.

– Powinam już iść – mruknęła, wsadzając tafłę z powrotem do torby. Próbowwała odegnać rodzącą się w sercu pokusę, aby zajrzeć do wnętrza ruin. – Wiatr się zrywa. Wydmy niedługo zaczną płynąć. Przed zmrokiem muszę przejść jeszcze... dobre pięć stajaków.

Podniosła z piachu rajtarski pistolet i wsadziła go za pas. Po poprzednim właścicielu broni nie pozostał nawet ślad. Erkal połknęła go w całości. Zirra ruszyła śladem ocalałego konia,

który przez cały czas ją obserwował z dumnie zadartą głową oraz postawionymi uszami. Wierzchowce używane przez żołnierzy Dominium w niczym nie przypominały zwierząt, na których jeździło się na skraju Wielkiej Pustki. Konie sprawiały wrażenie łagodnych, nie miały pazurów ani ostrych kłów, ale Zirra wiedziała, że za tymi krągłymi, ciemnymi ślepiami czaiła się nieokiełznana chytryść. Pod tym względem zwierzęta oraz ludzie z Dominium stanowili dobraną parę. Ani jednym, ani drugim nie należało nadto ufać. Z dwojga złego Zirra wołała jednak konie. Rzadziej próbowały ją zabić.

– Jeżeli spróbujesz mnie ugryźć, zostawię cię tutaj – rzuciła Zirra, wyciągając w stronę zwierzęcia otwartą dłoń. – To jak będzie?

Koń parsknął i machnął nogą.

– Dogadamy się? – Zirra podeszła o pół kroku bliżej i położyła palce na chrapach rumaka.

W odpowiedzi zwierzę zaczęło skubać jej dłoń.

– Nie jestem zbyt smaczna, prawda? – Rumak zarżał cicho, potrząsając łbem. – Nie mam żadnych smakołyków, ale jeżeli coś znajdziemy w sakwach, możemy podzielić się łupem. Potem zostawię cię w pobliżu najbliższego posterunku. Tam się tobą zajmą. Możemy się tak umówić?

Chrapy konia trąciły jej dłoń zupełnie tak, jakby rumak rozumiał jej słowa.

– Mądry z ciebie łajdak.

Zirra chwyciła za wodze i wspięła się na ruiny. Ciało zabitego chłopaka tworzyło teraz niewielką wydmgę, z której sterczały końcówki podkutych butów. Pustynna podniosła spod muru swój muszkiet, po czym zaczęła przetrząsać siodło z pękniętym popręgiem. Oprócz pistoletów w olstrach i prowiantu zabrała

tylko niewielkie, srebrne puzderko, w którym zabity trzymał brązowy, pachnący mentolem proszek.

Chociaż rajtarski pancerz można było sprzedać za kilka worków ziarna, Zirra nie zamierzała zabierać go ze sobą. Taki łup wzbudziłby zbyt wiele pytań, a ona wołała uniknąć zwracania na siebie uwagi. Tak było bezpieczniej. W przeciwnym razie mogła skończyć w brudnej, ciasnej celi, przygnieciona do ziemi podkutym butem któregoś z żołdaków Kenesa. Na samo wspomnienie dowódcy garnizonu Zirra poczuła chęć, aby spluć, ale nie zamierzała marnować choćby odrobiny wody z powodu tego człowieka. Do pilnowania pogranicza Dominium wykorzystywało kompanie karne, nadzorowane przez zdegradowanych oficerów. Dla tych ludzi prawo stanowiło jedynie wymówkę do rekwizycji, zdzierania podatków z mężczyzn oraz ubrań z kobiet. Mogli traktować pogranicze jak swoją własność tak długo, jak wypełniali polecenia płynące od namiestników i grandów. Tak wyglądało prawo oraz porządek pod rządami Dominium.

Zirra zadarła głowę. Ponad wydmami zerwał się wiatr, gwałtowny i zimny. O tym, że pustynia była krainą nieustającego żaru, rozwodzili się tylko cudzoziemcy, którzy nigdy nie spędzili nocy na piasku. Po zachodzie słońca Erkal pokazywała swoją drugą twarz. Ciemną, lodowatą i bezlitosną. Po kilku chwilach wiatr zmienił kierunek, a rozpalone powietrze zaczęło wiać z powrotem w kierunku gór, unosząc ze sobą chmury pyłu. Pustynia, jak każda żywa istota, oddychała. Jej sercem była burza, która od wieków szalała pośród wydm, zazdrośnie strzegąc sekretów spoczywających w Oku Erkal.

Regulując puśliska przy siodle ocalałego konia, Zirra raz za razem spoglądała ku ziejącej w kamieniach dziurze. Ciekaw-

wość walczyła w jej sercu z rozsądkiem. Pragnienie odkrycia tego, co skrywało się wewnątrz ruin, ogarnęło jej umysł niczym fala płomieni, tłamsząc każdy sensowny argument, który mógł powstrzymać pożogę.

– Nie. Muszę wracać do siostry – powiedział stanowczo. – Wrócę tutaj kiedy indziej. Wiem, jak znaleźć to miejsce – do-dała, poklepując sakwę z gwiazdoszkłem. – Muszę odpocząć, a nie szukać kolejnego guza.

Wydmny na to nie pozwolą, odpowiedziała sobie w myślach, przykryjają wejście i... już nigdy nie dowiesz się, co tam jest. Taka okazja trafia się tylko raz w życiu. To dopiero byłaby szkoda, przegapić coś takiego, czyż nie? Kto wie, może wewnątrz jest pełne białopyłu?

– Mowy nie ma.

Pustynna przeszła kilka kroków, ciągnąc za sobą konia, po czym obróciła się gwałtownie na pięcie.

– Niech to wiatr porwie!

Pospiesznie zarzuciła wodze na najbliższą skałę i ściągnęła przewieszony przez ramię sznur. Przywiązała jeden koniec powroza do żelaznego haka, wbitego w mur, a resztę strąciła w mrok.

– Miejmy to za sobą.

Zirra zawisała na linie w kolumnie światła, które wpadało przez pęknięty sufit. Wylądowała na stercie piasku, tuż obok martwego konia z przebitym bokiem. Płowe macki oblepiły ciało rumaka, wypychając się do środka ciała przez broczący krwią otwór. Konie, nawet te pochodzące z Dominium, były na tyle mądre, iż po śmierci bez oporów porzucały ten świat i nie wracały do życia jako opętane przez żądne krwi upiory. Kolejny dowód na to, że zwierzęta wykazują się większym rozsądkiem niż ich właściciele.

Wnętrze ruin było ciemne, pachniało stęchlizną, rozkładem oraz czymś jeszcze. Metaliczna woń wypełniała mrok.

– Proch?

Proch? Proch? Głos Zirry odbił się echem w głębi ruin. Proch?

Pustynna odetchnęła głęboko chłodnym powietrzem i syknęła, gdy obite żebra odezwały się bólem. Rozejrzała się dokoła, spodziewając się zobaczyć kamienną komnatę, strzępy dywanów, rozbite skorupy garnków oraz resztki drewnianych mebli, widok znany z wielu opuszczonych wiosek, które pochłonęła pustynia. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do panującego półmroku, zaczęła dostrzegać zarys chropowatych ścian oraz łukowato sklepionego tunelu. Z początku korytarz wydawał się całkiem pusty i dopiero po chwili spostrzegła ludzkie szczątki.

Dwa kroki dalej leżał okryty pancerzem szkielet, a przynajmniej jego górna połowa. Długa ciemna plama znaczyła podłogę, zdradzając, że nieszczęśnik nie skonał od razu. Czołgał się wytrwale, zanim znieruchomiał z wyciągniętą naprzód ręką. Zirra klękła obok zwłok, przelękając narastającą w gardle kulę. Ten człowiek został przecięty wpół tak gładko, jak szkło tnie skórę. Żaden pustynny drapieźnik nie mógł zrobić czegoś podobnego. Gdyby szczątki były rozszarpane szponami, a kości zmiażdżone szczękami lwa, Zirra czułaby znacznie mniejszy niepokój.

Oblizwała spierzchnięte wargi końcem języka i obróciła głowę w czeluść korytarza, gdzie napotkała spojrzenie ciemnych oczodołów. Nagie czaszki uśmiechały się do niej spod hełmów z długimi nakarczkami. W korytarzu spoczywały dziesiątki szkieletów opiętych resztkami wysuszonej skóry i zetłanych płaszczy. W wychudzonych dłoniach martwi wciąż ściskali sze-

rokie noże oraz maczugi. Gdzieś pomiędzy kośćmi spoczywała lufa karabinu, jakiego Pustynna nigdy nie widziała w rękach cudzoziemców.

– Na Erkal...

Zirre przeszedł dreszcz. To miejsce było przesiąknięte śmiercią. Wszystko podpowiadało jej, aby uciekała z tego gniazda pustynnych demonów, lecz ona ruszyła ostrożnie naprzód, omijając walające się na ziemi szczątki. Coś ciągnęło ją w głąb ruin. Nie możliwa do zignorowania mieszanka ekscytacji oraz strachu, która pomogła jej zapomnieć o bólu żeber oraz dłoni. Jak daleko odważy się zejść? Co znajdzie wewnątrz ruin, które nie powinny istnieć?

Dotknęła Pustki. Jej źrenice zniknęły, ustępując miejsca bieli. Ciemności zbladły, umknęły w głąb tunelu, odkrywając pozbawione cieni pobojuwisko wymalowane odcieniami szarości. Zirra widziała teraz detale z taką wyrazistością, jakby stojące w zenicie słońce zstąpiło do upiornych podziemi, gubiąc po drodze wszystkie barwy. Dopiero teraz mogła dostrzec, że ściany tunelu pokryte były napisami w obcym języku. Z sufitu zwisały puste klatki lamp, we wnękach kulily się kolejne ciała, wąskie drzwi wiodły do pomieszczeń o poczerniałych od ognia ścianach. Ktokolwiek tutaj walczył, zażarcie bronił każdego skrawka podziemnej fortecy.

Krocząc w kompletnej ciszy, Zirra dotarła do rozwidlenia korytarzy. Ściana w tym miejscu była naznaczona szramami po kulach oraz plamami zakrzepłej krwi. Poniżej rozbryzgów spoczywały jeszcze jedne zwłoki. Leżały na boku. Pancerna maska opierała się o podłogę, a okryta rękawicą dłoń sięgała na bok, jakby chciała przycisnąć do piersi sporych rozmiarów kulę wykonaną z ciemnego metalu.

Nierozsądnie było niepokoić zmarłych. Zirra oczywiście nie wierzyła, że wystarczy dotyk, aby przebudzić pustynnego

demoną, ale nie miała zamiaru sprawdzać, ile prawdy kryło się w starych opowieściach. Uważając, aby nie poruszyć szczątków, uniosła kulę, zaskoczona jej ciężarem. Obróciła znalezisko w dłoniach, sunąc palcami po chłodnej powierzchni metalu. Jedyną nierównością na twardej powierzchni był symbol wielkości dłoni. Krąg przebity przez sześć znaków przypominających stykające się pośrodku groty strzał.

– Dobry metal, cenna rzecz – stwierdziła, rzemieniami przywiązując kulę do torby. – Seiva się ucieszy.

Przez otwór w suficie do wnętrza ruin wpadł strumień piasku. Wiatr ponownie zjawił się ponad wydiami.

– Czas na mnie.

Zirra wróciła pod szczelinę w sklepieniu, chwyciła za linę, ale zamiast wspiąć się na powierzchnię, spojrzała raz jeszcze na leżące w tunelu szczątki. Nie wiedziała, czy ktokolwiek poświęcił tym ludziom choćby słowo w ostatnich chwilach życia. Wydawało się, że nie. Nikt nie zdarł z nich pancerzy, nikt nie przetrząsnął szczątków w poszukiwaniu pamiątek oraz kosztowności. Spoczywali tak, jak umarli. Komu służyli ci ludzie? Kim byli, zanim los zaprowadził ich w ciemność? W obliczu śmierci te pytania traciły wszelkie znaczenie. Spoczywali teraz ramię w ramię we wspólnym grobowcu. Pogodzeni na zawsze.

Zirra wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń.

– Oby wiatr był dla was pomyślny.

Rozdział II

Powrót do domu

Zirra

Spiczaste uszy drapieźnika nieustannie drgały, łowiąc w powietrzu terkot żaren oraz miarowy łoskot, dochodzący od strony tłoczni oleju. Dzieci bawiły się w glinie opodal dymiących pieców do wypalania cegieł. Łatwa ofiara dla pustynnego łowcy.

Shavary różniły się od dominiońskich koni tak samo, jak burza różni się od przyjemnego podmuchu wiatru. Długie pyski wypełniały rzędy ostrych zębów, nogi natomiast nie kończyły się kopytami, lecz grubymi pazurami. Ich smoliście czarna skóra lśniła w słońcu i w blasku księżyca przy każdym ruchu, upodabniając je do czegoś, co wyrwało się wprost z nocnego koszmaru. Z daleka shavary przypominały czarne konie, co doprowadziło do śmierci niejednego cudzoziemca, który uznał ich obecność za pomyślną wróżbę. Wszak tam, gdzie konie, tam i woda. Nieszczęśnik zwykle nie miał wiele czasu na zrozumienie swojej pomyłki. Najpierw biegł, potem krzyczał.

Zirra uwielbiała swojego shavara. Nazywał się Iro i nie mogła wymarzyć sobie lepszego towarzysza podczas wypraw na pustynię. Był najmniejszym szczeniakiem w miocie, ale miał duszę prawdziwego ogara pustyni. Nikt nie dawał mu szans na przeżycie po tym, jak matka wyrzuciła go z legowiska, ale Zirra przygarnęła Iro i nigdy nie pożałowała tej decyzji.

Pustynna pochyliła się w siodle. Podrapała shavara za uszami, na co ten odpowiedział niskim mručeniem.

– Przynajmniej dziś będziemy mieli okazję najeść się do syta.

Iro szczechnął gardłowo i klapnął zębami. Shavary były pojętymi bestiami, które szybko uczyły się rozpoznawać ludzkie słowa, a w szczególności te oznaczające jedzenie. Ciekawskie z natury zwierzęta zwykle dostawały wszystko, co chciały, zwłaszcza od obcych. Mało który przybysz chciał denerwować drapieżnika wielkości konia.

Zirra poklepała Iro po karku i spojrzała na znajomy zarys Kazaru.

Niewielka osada została zbudowana na szczycie kamiennego grzbietu, który wznosił się na kilkanaście stóp ponad kamienistym korytem wyschniętej rzeki. Woda pojawiała się tutaj tylko na wiosnę i znikwała po kilku tygodniach, nie dbając o to, czy cysterny pod osadą są pełne, czy Kazar czekało powolne konanie z pragnienia. Pozbawiony otworów mur z żółtego kamienia obejmował wioskę, chroniąc jej mieszkańców przed najeźdźcami oraz pustynnymi burzami. Ponad szczytem umocnień wystawały zarysy domów, zbudowanych tak blisko siebie, iż Kazar przypominał płataninę wieżyczek, ścian oraz płaskich dachów.

Opodal bramy, w cieniu płóciennych zadaszeń, mieszkańcy osady pochylali się ponad glinianymi misami i płukali ziarna hasalu, nucąc przy tym powolną pieśń. Co jakiś czas unosili metalowe sita wraz z ziarnem, aby wylać brudną wodę do przykrytych deskami koryt. Tam piach powoli opadał na dno, a kiedy zanieczyszczenia zebrały się już wokół sączka, ostrożnie czerpano wodę ze zbiorników i cała praca zaczynała się od nowa. Płukanie ziarna było szczególnie ważnym obowiązkiem przed zanieśieniem plonów do młyna. Nieważne, jak szczelne były spichlerze, piach zawsze dostawał się do środka, a miele nie zabrudzonych ziaren było najlepszym sposobem, aby przy każdym kęsie czuć zgrzytające między zębami ziarenka. Piach w mące był zgubą niejednego młynarza w tych okolicach.

Widząc powracającą z wyprawy Pustynną, ludzie unosili głowy, a kilku z nich pomachało jej na powitanie. Zirra odpowiadała uniesieniem dłoni z dwoma wyprostowanymi palcami. Łowy były pomyślne. To wystarczyło, aby na zasłoniętych tkaniną twarzach pojawiła się radość.

Przywiozła biały pył.

Zirra skierowała Iro w stronę szerokiego podjazdu wiodącego do jednej z dwóch bram wioski. Obok wrót, na metalowych hakach, wisiały trzy wielobarwne szarfy. Wszystkie należały do Pustynnych z Kazaru, które wyruszyły na poszukiwanie drogoceennej rudy pośród wydym Erkal. Błękitna szarfa należała do Ak-sis, szkarłatna do Mals, natomiast białoczarne szachownice były znakami Zirry. Kiedyś w Kazarze zamieszkiwało znacznie więcej Pustynnych, ale ostatnie lata nie były dla osady pomyślne. Orwę i Vanur pochłonął piasek, Galta dołączyła do kolejnego nieudanego powstania przeciwko Dominium, natomiast ciała Naged nigdy nie odnaleziono. Prześladowana koszmarami Pustynna wyruszyła samotnie między wydmy i słuch po niej zaginął.

Jadąc po kamiennym podejździe w stronę bramy, Zirra czuła na sobie wzrok mieszkańców osady. Wiedziała, że niektórzy przerywają pracę, po czym zaczynają naradzać się szeptem z sąsiadami. Nie musiała słyszeć słów, aby wiedzieć, o czym rozmawiają. Jeszcze dekadę temu Kazar mógł poszczycić się obecnością blisko tuzina białookich, które zapewniały osadzie prestiż i dobrobyt. Teraz pozostały trzy. O wiele za mało, żeby udźwignąć na barkach ciężar corocznej daniny.

– Witaj, *eressa* – rzucił na powitanie stojący przy bramie strażnik.

Danad był roslym, spalonym przez słońce mężczyzną o ciemnych oczach. Ciemnoczerwone szaty, zawój na głowie

i przewieszony przez ramię muszkiet nadawały mu stosowną powagę. Krótka, starannie przystrzyżona broda naznaczona była w kilku miejscach pasemkami srebra, ale to w żadnym wypadku nie ujmowało wojownikowi uroku. Wręcz przeciwnie. Danad nosił swoją przedwczesną siwiznę z dumą, podobnie jak blizny wyniesione z niezliczonych pojedynków oraz polowań. Zirra miała okazję policzyć je wszystkie w czasie wspólnie spędzonych nocy.

– Ile razy ci powtarzałam, żebyś nie mówił do mnie eres-sa? – odparła, zeskakując z siodła na kamienny podjazd. – To tytuł dla starszyny.

– Jesteś najbardziej doświadczoną Pustynną w Kazarze.

Zirra westchnęła na pokaz, ale uśmiechnęła się, gdy tylko sięgnęła po białą-czarną szarfę. Strażnik wsunął dłoń pod szatę i wyjął stamtąd kilka pasków suszonego mięsa, które wyciągnął na otwartej dłoni w stronę Iro. Shavar w mgnieniu oka chwycił za smakołyki, po czym zaczął lizać mężczyznę po ręce.

– Możesz po prostu przyjąć komplement – rzucił Danad, drapiąc Iro za uchem.

– Przyjęty.

Strażnik od niechcienia sięgnął dłonią do olstra przy siodle shavara i wyciągnął ciężki pistolet z rękojeścią zakończoną okutą gałką.

– A teraz powiedz, skąd wzięłaś broń?

– Znalazłam – odparła Zirra, przewijając się szarfą w biodrach.

– Znalazłaś – powtórzył Danad z udawanym namysłem. – Naturalnie. W którym to zakątku pustyni można natrafić na źródło obfitujące w pistolety? Rosną na drzewach czy trzeba je wykopać spod piasku?

– Zazwyczaj wystarczy znaleźć martwe ciało. Broń powinna leżeć w pobliżu.

– Jak rozumiem, ciało też po prostu znalazłaś?

– Możesz tak powiedzieć. – Zirra zdjęła zawój, odsłaniając poźółkły siniak wylewający się na policzek. Lewe oko otaczały oparzenia, pozostawione przez płonące kawałki przybitki. Spalona brew dopiero zaczęła odrastać. Pustynna potrząsnęła głową, uwalniając spod materiału długie, ciemne włosy.

– Bardzo się stawiali? – spytał Danad, wsuwając pistolet na miejsce.

– Trochę.

– Musisz na siebie uważać...

– Tak, wiem. Nie możemy sobie pozwolić na stratę kolejnej Pustynnej – przerwała mu Zirra. – Wiem, co mówi starszyzna.

– Myślałem o bardziej samolubnych powodach, które są mniej zrzędlawe i pomarszczone. – Danad wzruszył ramionami. – Powodach, które najlepiej rozważa się w cztery oczy.

– To rozmowa na inną okazję – mruknęła Zirra, przygryzając dolną wargę.

– Co musiałbym zrobić, żeby złapać taką okazję?

Zirra pokręciła głową, bawiąc się tą myślą. Nie miałyby nic przeciwko, żeby spędzić noc albo dwie z Danadem, ale zazwyczaj jednak na rozmyślaniach się kończyło. Obowiązki nie pozostawiały jej wiele okazji do odpoczynku, zwłaszcza gdy zbliżał się czas składania corocznej daniny wobec Dominium. Kilka godzin snu musiało jej wystarczyć przed wyruszeniem na kolejną wyprawę.

– Jesteś bystry. Myślę, że coś wymyślisz. – Zirra odpięła od siodła sakwy, w których przywiozła białopył. – Mam prośbę.

– Prośba za okazję?

Pustynna kiwnęła głową.

– Jutro o świcie wracam między wydmy. Mógłbyś zabrać Iro do stajni i kazać stajennym o niego zadbać? Dwa tygodnie nie widziałam siostry. Chciałabym spędzić z nią chociaż jeden wieczór. Kiedy wrócę, zwrócę przysługę. Z nawiązką – dodała.

– Słowo?

Przysunęła się bliżej i pocałowała Danada. Mruknęła cicho, gdy mężczyzna przesunął dłońią po jej karku i przeczeszał włosy. Pierwszy raz po tak długim poście zawsze smakował wspaniale, otumaniał równie mocno i szybko, co alkohol.

Zirra z trudem zdobyła się na cofnięcie o krok. Zbyt długo tkwiła samotnie pośród wydm, stanowczo zbyt długo.

– Słowo.

– Cała przyjemność po mojej stronie, eressa. – Danad błysnął zębami w zawadiackim uśmiechu.

Z sakwami białopyłu przewieszonymi przez ramię Zirra wkroczyła do Kazaru. Powitały ją znajome twarze i znajome głosy. Woń ostrych przypraw, zapach wyprawianej skóry oraz piskliwe dźwięki piszczałki. Po tak długim pobycie na pustyni przyjemnie było postawić stopy na przyprószonych piachem kamieniach i poczuć twardy grunt pod nogami. Osada nie wyróżniała się niczym szczególnym, a przynajmniej tak ją opisywali poborcy podatkowi oraz kupcy, którzy od czasu do czasu zapuszczali się w te strony. Ot, kilkadziesiąt domostw, spichrzy oraz warsztatów tłoczących się wokół placu, a raczej szerokiej ulicy, biegnącej pomiędzy dwoma bramami. Kazar w spisach Dominium był wart mniej więcej tyle, ile pergamin, na którym spisano jego prawa oraz obowiązki, przy czym tych drugich było znacznie więcej.

Dla Zirry Kazar był wszystkim. Mieszkała tutaj Seiva, ale spotkanie z siostrą musiało poczekać.

Pośrodku Kazaru wyrastała masywna kamienna kolumna, otoczona spiralnie skręconymi schodami. Długi cień filaru przesuwiał się każdego dnia od zachodniej bramy o świcie i rozmywał u wschodnich wrót, gdy słońce znikalo ponad góorskimi szczytami, oddzielającymi pustynię od wielkich solnisk. Niezależnie od pory dnia, wokół monolitu straż trzymało ośmiu wojowników w czarnych szatach i zawojach. Ponurzy, wsparci na długich lufach muszkietów mężczyźni nie dopuszczali do kolumny nikogo oprócz Pustynnych oraz rady starszych. Kamienny filar stanowił najważniejsze miejsce w osadzie. Był to skarbiec, w którym przechowywano zebrany białopył.

Zirra minęła strażników, pozdrawiając ich gestem dłoni, po czym wspięła się po wąskich stopniach na szczyt kolumny. Uchyliła mosiężną klapę, rozwiązała pierwszą z sakw i zaczęła wysypywać połyskliwą rudę do wnętrza skarbcza. Metaliczny grzechot przyciągnął uwagę siedzących na dachach tkaczek, a także grupki obcokrajowców o paskudnym wyglądzie najemnych rębajłów. Obecność takich jak oni nigdy nie wróżyła niczego dobrego. Cudzoziemcy wskazywali na Zirrę palcami i wymieniali między sobą niezbyt przychylnie uwagi, co jakiś czas zanosząc się śmiechem.

Białopył, przekleństwo oraz błogosławieństwo Erkał, stanowił powód, dla którego Dominium interesowało się takimi miejscami jak Kazar. Drogocenna ruda wypełniała krwiobieg królestwa życiodajną siłą, nie pozwalając temu rozdętemu monstrum upaść pod własnym ciężarem. Po przetopieniu białopył stawał się metalem zarazem twardszym, jak i lżejszym od stali. Kuto z niego miecze, odlewano lufy armat, dodawano opiłków do prochu strzelniczego oraz leków... Był wszędzie. Dominium upajało się oparami białopyłu niczym uzależniony człowiek wdychający narkotyczny dym.

Metal ten posiadał jeszcze jedną właściwość, która pozwalała Dominium trzymać podbite ludy w żelaznym uścisku. Przedmiotów wykonanych z białopyłu nie dało się ukraść. Każdy, kto próbował tego dokonać, padał martwy, zanim uszedł kilka kroków. Z tego powodu rudę łączono ze złotem, srebrem oraz platyną, a z otrzymanego stopu wybijano monety, które trafiały w ręce magnatów oraz kupców. Nienasycony głód białopyłu sprawiał, że granica królestwa przesuwała się coraz dalej na zachód, w poszukiwaniu nowych złóż oraz Pustynnych, które potrafiły odnaleźć rudę pośród wydmy.

Kazar przez wieki opierał się nawałnicom i najazdom bandytów, ale musiał ugiąć kolana, gdy na horyzoncie pojawiły się sztandary Dominium. Odziany niczym grand posłaniec odczytał mieszkańcom osady werdykt, który został wydany w ich sprawie setki mil stąd. Werdykt oraz konsekwencje nieposłuszeństwa.

Od tego czasu Kazar musiał raz do roku składać daninę z białopyłu.

Zirra opróżniła pierwszą sakwę do ostatniej grudki. Wnętrze skarbcza było wyłożone blachą, dzięki czemu po samym dźwięku dało się określić, ile białopyłu znajdowało się w kolumnie. Spodziewała się, że o tej porze skarbiec będzie naplany przynajmniej do połowy. Myliła się, i to bardzo. Ruda ledwie zakrywała dno kolumny.

– Niech to wiatr porwie – zaklęła pod nosem.

Z ciężkim westchnieniem Zirra wsypała do skarbcza zawartość drugiej sakwy. Uzbierała prawie dwadzieścia min białopyłu. Taka ilość wystarczyłaby na wykupienie obywatelstwa oraz sporego kawałka ziemi w sercu Dominium. Jednak w rękę Zirry ruda nie była w stanie zapewnić choćby kilku dni odpoczynku. Przynosiła natomiast aż nadto goryczy.

Pustynna zawiesiła puste sakwy na metalowym haku wbitym w lico skarbcza i ruszyła w dół schodów. Cała radość z powrotu do domu zgasła. W sercu Zirry tliła się rezygnacja oraz narastający płomyk frustracji. Przed momentem łudziła się, że jeszcze jedna, najdalej dwie wyprawy na bezpieczne złoża białopyłu i będzie mogła odpocząć do końca sezonu. Teraz chciała krzyczeć ze złości.

Ostatnie tygodnie spędziła, śpiąc na piasku, żywiąc się twardym, wyschniętym na wiór mięsem oraz plackami, które dało się przelknąć dopiero po rozmoczeniu w wodzie. Każdy dzień rozpoczynała od wytrzepywania piachu z ubrania oraz włosów, zastanawiając się, czy ma dość prowiantu, aby wrócić do Kazaru. Nie miała. Kilka dni głodowała, maszerując naprzód ze zwieszoną głową, licząc własne kroki, aby zapomnieć o bolesnym ssaniu w żołądku, podczas gdy dzikie zwierzęta trzymały się na odległość celnego strzału z muszkietu, jakby drwiły z brnącej poprzez wydmy kobiety.

Wszystko na nic. Za mało, aby nasycić Dominium. Za mało, aby spędzić kilka dni z siostrą i kilka nocy w objęciach Danada. Zawsze za mało.

Zirra przeszła między strażnikami, po czym ruszyła w stronę zachodniej bramy z ponurym grymasem na twarzy. Najemnicy ze wschodu skupili się wokół beczki, na której grali w kości.

– Panowie, sytuacja jest poważna – stwierdził jeden z obcokrajowców, jasnowłosy zbir o zwalistej posturze i twarzy przypominającej ledwie ociosany kamień.

– Selewan zaraz zedrze z nas ubrania i mam pewność, że zaczniesz od spodni.

– Wyświadczam przysługę miejscowym. Będą mogli sobie popatrzeć na wasze pożałowania godne tyłki – odparł mężczy-

zna zwany Selewanem, chudy, przeraźliwie wysoki i pobrękujący kolczugą przy każdym ruchu. Najwyraźniej zaufanie w tych stronach było towarem deficytowym zarówno dla miejscowych, jak i przyjezdnych.

– Nie nazwałbym tego przysługą. Torturą prędzej – mruknął trzeci najemnik.

– Przynajmniej się pośmieją. – Selewan spojrział na przechodzącą obok Zirre i posłał jej krzywy uśmieszek.

Pustynna zacisnęła mocniej wargi i odwróciła wzrok. Nie znosiła obcych. To przez nich musiała wyruszać między wydmy i ryzykować życie tylko po to, aby wykupić kolejny rok wolności dla Kazaru. Służba jest nagrodą samą w sobie, powiedział jej kiedyś bogato odziany poborca podatkowy, noszący prawe ramię na jedwabnym temblaku. Dobrze spełniacie swoje obowiązki. Powinniście czuć dumę z waszego miejsca w Dominium. To wszystko. Możecie odejść.

Zirra zatrzymała się przy kramie cudzoziemskiego kupca, choć określenie tego pobojuwiska kramem było mocno na wyrost. W cieniu płóciennego żagła leżał powycierany dywan, na którym wygodnie rozsiadł się właściciel kilku otwartych kufrów wypełnionych tkaninami, biżuterią, narzędziami oraz drobiazgami wartymi nie więcej niż kilka srebrników z białopylem. Mężczyzna odziany był w pustynne szaty, co kontrastowało z jego bursztynowymi oczami, zdradzającymi dominiońskie pochodzenie. Wygolona, pokryta bliznami głowa upodobniała go do najemnika, podobnie jak nieruchome, spokojne oczy człowieka, który wiedział, co czynić, gdy wokół robi się gęsto od stali. Cztery pistolety, leżące obok półmiska z suszonymi owocami, potwierdzały ten domysł. Zirra gotowa była obstawić pył przeciwko piaskowi, że połowa rozłożonych towarów została

zrabowana z karawany mniej ostrożnych kupców. Koniec końców okazja czyni handlarza.

– Może zainteresuje czcigodną Pustynną swoimi towarami? – powiedział mężczyzna, przeciągając zgłoski, po czym pogłaskał siedzącego na skrzyni czarnego ptaka, który drzemał ze skórzanym kapturkiem na oczach.

– Co masz? – spytała Zirra, oglądając rozłożone na suknie cęgi, dłuta, noże oraz owinięte w materiał tafle gwiazdoszka. Oprócz tanich i raczej pospolitych przedmiotów kupiec oferował szeroki wybór sadzonek w glinianych garnkach. W przeciwieństwie do pustynnych roślin, trawy ze wschodu oraz południa mieniły się wszystkimi odcieniami błękitu, zieleni oraz szkarłatu. Kupiec miał na sprzedaż nawet kwiaty prochowe, z których wyciskano wyjątkowo skuteczny i szybko uzależniający sok uśmierzający ból.

– To, co widać. – Mężczyzna wzruszył ramionami i leniwie trącił błękitne źdźbła trawy. – Rośnie szybko, a wrzucone do wrzątku pomagają na trawienie. Niektórzy nawet twierdzą, że smakują lepiej od wina, ale nie wierzyłbym w takie brednie. Ludzie, którzy tak twierdzą, nigdy nie pili dobrego wina.

– Żaden kupiec wart swojego pyłu nie pokazuje najlepszych towarów od razu – odparła Zirra, przyglądając się czarnemu ptakowi. Po chwili zauważyła, że zwierzę ma dwie pary skrzydeł, zakończone długimi lotkami.

– Najlepsze towary potrzebują klienta wysokiej próby. – Kupiec sięgnął dłonią po suszone owoce. – Jestem Veier, a ty?

– To twoi ludzie? – Zirra prychnęła i wskazała kciukiem na grających w kości mężczyzn.

– Niezbyt imponująca zbieranina, co? – Kupiec spojrział krótko na najemników. – Są dla mnie jak dzieci. Hałasują, cały czas chcą uwagi i trzeba ich karmić z butelki.

– Ile kości mam im połamać, żebyś pokazał, co jeszcze masz?

Veier przeżuł kawałek moreli.

– Pustynna, która chce się dogadać z obcym. Proszę, proszę, czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Będzie o czym opowiadać. Sądziłem, białooka, że zajmujecie się ignorowaniem cudzoziemców i rzucaniem spojrzeń, które mogłyby zabić. O! Właśnie takich. Już czuję, jak mnie chłód śmierci ogarnia. – Kupiec uśmiechnął się drwiąco, nie odrywając spojrzenia od Pustynnej. – Litości, błagam – dodał niespiesznie.

– Nie nazywaj mnie białooka.

Veier nie kłamał. Najchętniej obróciłaby się na pięcie, w duchu życząc mu ukąszenia przez białego skorpiona, ale chciała kupić coś siostrze. Czuła się winna za każdym razem, gdy opuszczała Seivę, i nie chciała wracać z pustymi rękoma. Wiedziała, że kupowane naprędce podarunki dla siostry były tylko sposobem, aby uciszyć własne sumienie, ale innego sposobu nie знаła.

– Zirra – powiedziała w końcu.

– Zirra. – Veier z zadowoleniem powtórzył imię Pustynnej. – Czego potrzebujesz, Zirro?

– Czegoś ładnego dla dziewczyny. Nie dla mnie. – Zirra wyciągnęła z torby srebrne puzderko z mentolowym proszkiem. – Co możesz za to dać?

Kupiec otworzył pudełko, uniósł szczyptę specyfiku do nosa i wciągnął ją głęboko w zatoki.

– Uch! – stęknął. Lewe oko mężczyzny zaczęło łzawić. – Mocny towar, czysty.

Veier włożył puzderko do szkatuły z ciemnego drewna, po czym wyciągnął ze skrzynki misternie kutą bransoletkę

w kształcie złocistej spirali, nakrapianej zielonymi punkcikami szafirów.

– Co powiesz na takie cacko? Szmaragdy sprawiają, że nosząca je osoba zobaczy dalekie krainy.

– Kolejna opowieść, w którą nie warto wierzyć? – Zirra uniosła brwi.

– Zapewne, ale takie opowieści są najlepsze. – Veier przesunął dłonią po wygolonej głowie. – Można ich słuchać bez konsekwencji, czego nie da się powiedzieć o prawdzie.

– Ile jestem ci jeszcze dłużna? – zapytała Pustynna, wyciągając dłoń po bransoletkę.

– Nic. Znam kogoś, kto za to świństwo zapłaci grudką białopyłu. Nie będę stratny, nie musisz się o mnie troszczyć, białooka, chociaż schlebia mi to – rzucił Veier, łowiąc podejrzliwe spojrzenie Pustynnej. – Ciekawa błyskotka. – Kupiec wskazał podbródkiem na metalową kulę, która wisiała przy boku Zirry. – Wygląda na starą.

– Może. – Pustynna nie zastanawiała się nawet nad tym, jak stare mogły być ruiny, do których trafiła. Jej wzrok wrócił do czteroskrzydłego ptaka. – Nigdy nie widziałam podobnego zwierzęcia.

– Rehotnik. Pochodzi z północy, z Merii. Marynarze używają tych ptaków, żeby kontaktować się z innymi okrętami na morzu.

Morze. Zirra słyszała kiedyś to słowo. Ponoć istniały krainy, gdzie rzeki były tak szerokie, iż sięgały horyzontu, a ich pokonanie wymagało specjalnych wiatrowców, które sunęły po wodzie, ale Pustynna nie dawała zbyt wiele wiary tego typu opowieściom. Cudzoziemcy uwielbiali się popisywać niestworzonymi historiami.

– Na pograniczu przydaje się do komunikacji z innymi karawanami oraz posterunkami. – Kupiec delikatnie podniósł kapturek z głowy ptaka, który wyraźnie się ożywił i rozchylił dziób. – To bardzo zmyślne bestie...

– To bardzo zmyślne bestie! – powtórzył rehotnik skrzekliwym głosem.

– Sama widzisz...

– Sama widzisz. Zmyślne bestie!

– Czasami bywają nieposłuszne – westchnął Veier.

– Jak twoja siostra! – zaskrzeczał rehotnik. – Zmyślne bestie!

– Mam bardzo ważną wiadomość. – Kupiec postukał ptaka po głowie. – Powiedz: jestem w Kazarze. Wciąż na was czekam. Przybywajcie szybko.

– Jestem w Kazarze. Wciąż na was czekam. Przybywajcie szybko, zmyślne bestie!

Mężczyzna podrzucił rehotnika w powietrze. Cztery skrzydła załopotaly cicho i po kilku chwilach ptak zmalął do rozmiarów czarnej plamki wiszącej na tle błękitnego przestworu.

– Są drogie? – zapytała Zirra, chowając bransoletę do torby. – Taki ptak pozwoliłby sprowadzić pozostałe Pustynne na obiecujące złoza.

– Trzy królewskie funty platyny z białopyłem.

– Drogo – westchnęła Pustynna. – Byłbyś w stanie sprowadzić dla mnie jednego?

– Będzie ciężko. Niczego nie obiecuję... – Veier zawiesił głos i pokiwał głową na boki. – Ale mogę spróbować. Powiedz mi jeszcze jedno, Zirro...

Przerwały mu pokrzykiwania ludzi, którzy weszli do osady przez wschodnią bramę. Czterech niechlujnych żołdaków w kirydach i szerokich słomkowych kapeluszach ciągnęło między

sobą starszego mężczyznę w jasnej szacie, na której wyraźnie odcinała się plama zaschniętej krwi. Nie zwracając uwagi na protesty miejscowych, zbrojni zmierzali w stronę pręgierza.

– Bydlaki – warknęła Zirra i ruszyła na spotkanie żołnierzy. – Co tu się dzieje?!

– Nie twoja sprawa, białooka. – Kenes, kapitan garnizonu, machnął ręką, w której trzymał nahajkę. Jego ulubione narzędzie pracy, oprócz nakładania grzywien za zmyślone przewinienia.

Pustynna stanęła między żołnierzami a pręgierzem.

– Moja sprawa.

– Posłuchaj, białooka. – Kenes podstawił bicz pod brodę Pustynnej. – To, że jesteś cenna, nie znaczy, że jesteś nietykalna. Rozumiemy się? Mogę sprawić, że będziesz bardzo tykalna. – Kapitan zmrużył oczy. – To nie przeszkodzi ci zbierać białopyłu. Może nawet ci się spodoba bicie, kto wie?

– Spróbuj tylko. – Zirra odtrąciła bicz na bok i patrzyła wyzywająco w bursztynowe oczy kapitana. – Wsadzę ci nahajkę tam, gdzie słońce nie dociera. Może nawet ci się spodoba, kto wie?

Z wartowni przy wschodniej bramie wybiegło kilku żołnierzy z muszkietami w rękę i dołączyło do Kenesa. Mieszkańcy Kazaru zaczęli się zbierać wokół pręgierza, trzymając w rękę noże, pałki oraz szable. Szczęknięły odciążane kurki przy muszkietach. Towarzyszący kapitanowi ludzie stanęli plecami do siebie, gotowi w każdej chwili sięgnąć po broń. Jedną dłoń na obnażonym do połowy pałaszu, drugą na rękojeści zatkniętego za pas pistoletu. Chociaż wygląd temu przeczył, ci ludzie niejedną raz zasmakowali już krwi i nie mieli problemów z jej przelewaniem. Właśnie dlatego trafili do Kazaru.

W powietrzu czuć było prochem i groźbą, wystarczyła iskra, aby doszło do masakry.

– Aż miło popatrzeć, jak dzikuska się wysławia w języku zrozumiałym dla ludzi. – Kenes zaśmiał się oschle. – Pobawiliśmy się, pokazałaś, jaka jesteś odważna. Bardzo ładnie, piękne przedstawienie, a teraz zejdź mi z oczu. Już, sio, do swojej nory!

Hener, najmłodszy syn Navila, wyrwał się naprzód i stanął przed kapitanem z zaciśniętymi pięściami. Pomimo zawoju wiadać było, że policzki chłopaka poczerwieśniały z gniewu.

– Jak ty się zwracasz do Pustynnej?! – krzyknął. – Nie wiesz, że...

– Proszę o wybaczenie. – Kenes dzielił go pięścią w twarz na tyle mocno, że Hener poleciał na ziemię i zwinął się w kłębek, zasłaniając ramionami głowę.

Zirra sięgnęła po czekan. Żołnierze natychmiast dobyli broni. Lufy muszkietów zaśniły w słońcu, obnażone klingi drżały w oczekiwaniu na krew. Nerwowe spojrzenia, płynące po twarzy pot, mokre palce na spustach.

– Proszę, proszę – zadrwił Kenes. Nie stracił zimnej krwi nawet na chwilę. Jego ogorzała, chuda twarz pozostała nieruchoma. – Grozimy oficerowi? Wiesz, co za to grozi, białooka?

– Kapitanie! – powiedział głośno jeden z żołnierzy, opuszczając nieznacznie muszkiet.

Do wsi wjechał oddział jazdy. Tuzin zakurzonych koni i tyłuż ponurych kirasjerów w szmelcowanych na czarno pancerzach. Przy siodłach kiwały się estoki, maczugi oraz karabinki, pobrzękując złowrogo przy każdym ruchu wierzchowców. Wszyscy jeźdźcy na lewej piersi nosili metalową płytkę, która przedstawiała godło regimentu. Czaszkę, miażdżoną uderzeniem pancernej pięści.

Na widok kirasjerów mieszkańcy Kazaru cofnęli się z jękiem. Prowadzący oddział mężczyzna miał szare włosy i gra-

natowe oczy przecięte wstęgami zieleni oraz błękitu. Koścista twarz i jasna cera zdradzały pochodzenie z mroźnego południa, gdzie noc trwa przez pół roku, a niebo płonie pasmami zórz. Co gorsza, mężczyzna nosił przy hełmie kapitański pióropusz. Dla mieszkańców pustyni oficer tej rangi był czymś znacznie bardziej przerażającym niż pustynny demon. Ze zmartwychwstańcami człowiek mógł przynajmniej walczyć i czasami wygrać. Przed kapitanem można było tylko błagać o wybaczenie.

– Niefortunny moment sobie wybrałaś, białooka – wycedził Kenes, po czym kopnął Henera w brzuch. Dowódca garnizonu spojrział w stronę kirasjerów i zasalutował im nahajką. – Miło was widzieć, chłopcy.

– Co się tutaj dzieje?

Jedno krótkie pytanie wystarczyło, żeby Zirra skłęła pod nosem swoją brawurę. Dowódca kirasjerów miał szorstki głos, który przypominał zgrzyt ocierających się o siebie kamieni albo warczenie dzikiego zwierzęcia. Ten jeden raz Pustynna musiała się zgodzić z Kenesem. To był najgorszy moment, aby grozić bronią żołnierzom Dominium. O ile w ogóle istniał dobry moment na tego typu brawurę.

– Małe nieporozumienie z miejscowymi – wyjaśnił Kenes. – Jesteśmy w trakcie wymierzania kary temu człowiekowi. – Kapitan wskazał głową na starszego mężczyznę, który klęczał pomiędzy żołnierzami. – Złamał prawo.

– W jaki niby sposób Orr mógł złamać prawo? – zapytała głośno Zirra, zdając sobie sprawę, że otwarcie ust mogło tylko pogorszyć sytuację. Nie zamierzała jednak kłaść po sobie uszu i beczynnie patrzeć na jawne znęcanie się nad staruszką.

Kenes nawet się nie odwrócił do Pustynnej.

– Nikt ciebie nie pytał o zdanie, białooka.

Dowódca kirasjerów spojrział z wysokości siodła na Zirrę, po czym przesunął wzrokiem po mieszkańcach Kazaru, jakby liczył, ilu z nich ucieknie przy pierwszym wystrzale.

– W jaki sposób złamał prawo? – Jeździec westchnął i sięgnął po wiszącą przy siodle manierkę. – Sierzancie?

– Kapitanie – poprawił go Kenes.

– Byłeś kapitanem, zanim postawiono cię przed sądem polowym – odparł leniwie oficer, pociągając tęgi łyk, a potem drugi. Kirasjer skrzywił się na moment. W manierce z pewnością nie było wody. – W jaki sposób złamał prawo?

Kenes wywrócił oczami.

– Kłamał, mataczył i rozsiewał plotki, które godzą w interes Dominium – wyrecytował swoją ulubioną formułkę, która pozwalała mu bezkarnie stawiać ludzi przed obliczem sądu oraz zdzierać coraz to nowe grzywny. Sąd zawsze przychyłał się do werdyktów dowódcy garnizonu. Trudno, aby było inaczej, skoro Kenes osobiście rozpatrywał własne wnioski. W ostateczności sprawa trafiała pod trybunał trójkowy. Dwóch żołnierzy trzymało skazańca, trzeci kopał.

– Łże! – Zirra wskazała nadziakiem na Kenesa. – Orr jest niemową! Splata kosze i zszywa buty. Nie potrafi nawet pisać.

Mieszkańcy Kazaru potwierdzili jej słowa zgodnym pomrukiem, chociaż nikt nie wierzył, że zdołają one przekonać oficera z Dominium. Tam rządziły prawa, nie prawda.

– Zamknij się, białooka, zanim to ciebie przywiążę do pręgiery! Tracę już cierpliwość – warknął Kenes, po czym zwrócił się na powrót do kirasjera: – Nie ma się nad czym rozwodzić. Ja zajmuję się pilnowaniem prawa, a nie rozważaniem, czy jakiś przepis jest dobry, czy zły.

– Ktoś może potwierdzić zarzuty wobec tego człowieka... – jeździec nachylił się nieznacznie w siodle – sierżancie?

– Ja i trójka żołnierzy, która była ze mną na patrolu – odpowiedział Kenes wyraźnie znużony przeciągającą się wymianą zdań, która w jego mniemaniu tylko odwlekała nieuniknione.

– Tylko?

Sposób, w jaki oficer wymówił to słowo, sprawił, że Zirra wstrzymała oddech. Przez moment miała wrażenie, że się przesłyszała, ale nie. Żołnierze z garnizonu spojrzeli niepewnie na swojego dowódcę, a mieszkańcy Kazaru zaczęli szeptać między sobą.

– Uhm, tak. – Kenes również wydawał się zбитy z tropu.

– Nikt inny tego nie potwierdzi? Wy? – Jeździec stanął w strzemionach i spojrzął na grupkę mężczyzn w pustynnych szatach. – Wy? – Manierka wskazała na muszkieterów, którzy pokręcili ostrożnie głowami.

– Wystarczą nasze zeznania – westchnął Kenes z irytacją. – Taki jest tutaj protokół. To standardowa procedura.

– Stan-dar-do-wa – powtórzył kirasjer flegmatycznie. Pociągnął jeszcze łyk z manierki, po czym sięgnął po kawaleryjski karabinek, paskudną broń dla paskudnych ludzi. Sprawdzał proch na panewce i oparł luźną o czoło Kenesa. – Moi ludzie właśnie donieśli mi, że jesteś winien zdrady stanu. Cóż za zbieg okoliczności.

Pozostali kirasjerzy zaczęli się uśmiechać z wdziękiem stada szakali, które wpadło na trop świeżej padliny. Kilku z nich wjechało pomiędzy żołnierzy z garnizonu, roztrzając ich na boki.

– Ale... – Kenes nerwowo oblizał wargi. – Ale oni nic nie powiedzieli.

– Jestem pewien, że się ze mną zgadzają.

– Przecież to są dzikusy! – zaprotestował Kenes, wskazując na mieszkańców Kazaru. – Z nimi trzeba krótko!

Zirra już postąpiła pół kroku do przodu, ale ktoś zdążył ją chwycić za ramię i powstrzymać, zanim zrobiła coś niewyobrażalnie głupiego.

– Służę tutaj od lat i nie pozwolę, żeby pomiatał mną jakiś podrzędny oficerzyna. Jeszcze tego pożałujesz. – Kenes odsunął lufę sprzed twarzy. – Nowy prefekt z pewnością się ze mną zgodzi.

Kirasjer wsunął karabin w olstro, nieporuszony groźbą.

– Doskonale – stwierdził, wzruszając ramionami. – Jeszcze nie skończyłem inspekcji, ale obiecuję, że wysłucham waszego zażalenia z wielką uwagą. – Twarz jeźdźca drgnęła i pękła w złowróbnym uśmiechu. – Wyraziłem się jasno?

– Czyli to wy... jesteście nowym prefektem? – Kenes skulił się jak pies, który spotkał wilka.

– Wypuście tego człowieka – polecił prefekt, po czym zakręcił manierką nad głową. – W drogę, panowie, jestem już prawie trzeźwy, a nie powinienem.

Kirasjerzy z wprawą zawrócili konie i wyjechali kłusem przez wschodnią bramę, pozostawiając po sobie chmurę kurzu oraz osobliwą ciszę. Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Kenes odchrząknął.

– Mieliście dziś szczęście – oznajmił, odzyskując rezon. – Zabierajcie tego starucha i nie myślcie, że cokolwiek się zmieni. Prefekt nie dowie się o tym, czego nie usłyszy. – Kenes postawił Orra na nogi i otrząpał go z przesadną delikatnością. – Pamiętajcie, że niemi nie mogą się skarżyć.

Starzec nader żwawo oddalił się w stronę swojego domu, podczas gdy żołnierze garnizonu zbili się w ciasny krąg w cieniu wartowni.

– Trzeba będzie coś z tym zrobić – stwierdził jeden z muszkieterów, opierając się o ścianę.

– Szefie?

– Jak sobie z tym poradzimy? Koniec z... no... z naszym małym interesem?

– Coś wymyślę, spokojnie, spokojnie – mruknął Kenes, bawiąc się nahajką. – Chodźmy się napić. Zaszło mi w gardle od tego mielenia ozorem. – Pokręcił głową i spojrzał ku wschodniej bramie. Powiedział coś jeszcze, czego Zirra już nie usłyszała.

Pustynna obróciła się i napotkała wzrok Henera.

– Jesteś cały?

Chłopak wyprostował się dumnie i pokiwał głową.

– To drobnostka – odpowiedział głębszym głosem, naśladowując sposób, w jaki mówili mężczyźni.

Hener miał dziewiętnaście lat, był o kilka lat młodszy od siostry Zirry, co nie przeszkodziło mu bez reszty zadurzyć się w Pustynnej. Różnica wieku nie robiła na nim wrażenia, podobnie jak drwiny rówieśników, a te, jak to pośród młodych, potrafiły być wyjątkowo dokuczliwe. Nie odstraszał go również brak zainteresowania ze strony swego obiektu westchnień.

– Musisz bardziej uważać w obecności żołnierzy. – Zirra spojrzała na Kenesa i jego ludzi. – Masz szczęście, że nie zrobili ci nic więcej.

– Nie mógłbym postąpić inaczej i cię zostawić. – Młodziak poprawił zawój. Wciąż miał lekko puciołowatą, dziecianną twarz, którą szpecił teraz ślad po uderzeniu Kenesa.

– Dzięki za pomoc. – Zirra starała się, aby słowa nie zabrzmiały zbyt szorstko. Z lichym skutkiem, ale Hener rozpromienił się, słysząc pochwałę.

– Muszę jeszcze pomóc przy tłoczni. Tatko montuje drugi tłok, ale obiecał mi, że dostaniesz pierwszą miarę oleju – powiedział szybko. – Muszę już iść.

Zirra przez moment patrzyła, jak chłopak oddała się wesółym krokiem w kierunku zachodniej bramy. Pokręciła głową z westchnieniem.

– I co ja z tobą zrobię?

Dom, w którym mieszkała Zirra, nie różnił się niczym od pozostałych budynków w Kazarze. Wąskie otwory zasłaniały solidne okiennice, chroniące wnętrze przed piaskiem oraz szklanymi łzami, które przynosiły pustynne nawałnice. Z powodu burz domy na skraju Erkal były pozbawione wszelkich ozdób, przynajmniej z zewnątrz. Żadne farby czy tynki nie były w stanie wytrzymać gniewu Erkal, toteż budynki w tych stronach przypominały kanciaste, kamienne stacje o grubych ścianach.

Zirra weszła po schodach na dach pierwszego piętra i stanęła obok otwartych na oścież drzwi. Z wnętrza sączył się kuszący zapach świeżo pieczonych placków oraz gotowanej potrawy z herbaty. W powietrzu czuć było paprykę, szalotkę oraz czosnkiem. Pustynna w jednej chwili przypomniała sobie, jak dawno nie miała w ustach prawdziwego jedzenia. Mdle, ostre, słodkie, kwaśne czy gorzkie, nieważne, wszystko, co nie było rozmokłą breją z chleba i wody stanowiło dla niej prawdziwą ucztę.

Stałaby tak długo z zasłoną na twarzy, rozkoszując się chwilą zapomnienia, gdyby w progu nie pojawiła się ciemnowłosa dziewczyna o oczach równie jasnych, co wiosenne strumienie.

Nie, nie dziewczyna, przemknęło przez głowę Zirry, kobieta. Dorosła kobieta.

– Zi! – zawołała radośnie Seiva. – Wróciłaś!

Siostry padły sobie w objęcia.

– Nie da się ukryć – odparła z ulgą Zirra, po czym odsunęła Seivę na długość ramienia. – Albo mnie wzrok zwodzi, albo moja siostrzyczka wyładniała.

– Za dużo patrzyłaś w słońce – odpowiedziała Seiva zardziornie.

– I to pod wiatr – zgodziła się Zirra.

– Nie stój tak, wchodź. – Seiva chwyciła siostrę za rękę i pociągnęła ją przez próg. – Musisz być głodna jak pustynny lis.

– Bardziej nawet.

Pustynna odetchnęła zapachem domu, wonią, której nie dało się w żaden sposób opisać czy uchwycić. Tchnęło tutaj bezpieczeństwem oraz spokojem, czymś, czego Pustynnej brakowało pośród wydm każdego dnia i każdej nocy. Zirra zdjęła torbę i położyła ją obok drzwi. Muszkiet z rzeźbionym łóżem zawisł na kołku, tuż obok pary podobnie ozdobionych pistoletów. Pustynna poluzowała pas, cały czas obserwując siostrę, podczas gdy ta krzątała się przy piecu.

Seiva wydorosłała i nie miało to nic wspólnego z jej wyglądem. To, w jaki sposób zajmowała się domem, mówiło znacznie więcej o jej samodzielności niż jakiegokolwiek słowa. Ściany zostały niedawno pomalowane, piec otrzymał nowe drzwiczki, ponad ogniem wisiał jeszcze niepoczerniały od użytku kociołek. Sufit zdobiło piękne malowidło przedstawiające dwa pustynne lisy siedzące na tle gwieździstego nieba. Wyłużone meble zastąpiły solidne krzesła z rzeźbionymi oparciami. Odkryte ramiona Seivy pokrywała siatka złożonych tatuaży, które przedstawiały imiona jej krewnych, i wyglądało na to, że wkrótce dziewczyna doda do nich imię męża oraz jego rodziców, aby wypełnić lukę na lewym barku. Zirra nie wyobrażała sobie in-

nego powodu, dla którego siostra miałyby nosić na szyi kamień z wyrzeźbionym glifem Wierności.

Całkiem dorosła, kiedy ja włóczyłam się po pustyni, pomyślała Zirra z rozgoryczeniem. Nawet nie zauważyłam, kiedy to się stało. Siostry widywały się zwykle raz na kilka tygodni, czasami jednak rozłąka trwała dłużej, całe miesiące. Wystarczająco długo, aby Zirra zaczęła zadawać sobie pytanie, czy tak naprawdę zna własną siostrę. Kochała ją, ale nie mogła powiedzieć, że ją rozumiała.

Seiva zalała wrzątkiem napar z mięty i zajrzała do przykrytej tkaniną miski, w której dorastał zakwas na chleb. Obróciła się dziarsko na pięcie, ale jej radość zbladła, gdy Zirra zsunęła zasłonę z twarzy.

– Na Erkal, co ci się stało?!

– Drobnostka.

– Nie wygląda jak drobnostka. Brakuje ci brwi.

– Potknęłam się. Kilka razy.

Seiva oparła dłonie na biodrach, a w kąciku ust pojawił się grymas.

– Nie bawi mnie to – powiedziała twardo, zupełnie jak matka.

– Mnie też nie. – Zirra rozpięła szeroki pas. – Byłam na Zakazanych Wydmach.

– Przecież tam nie wolno wam chodzić!

– Wiem, ale Kazar nie ma już tylu Pustynnych, co kilka lat temu, a musimy mieć białopył, żeby opłacić daninę. – Pustynna skrzywiła się na samą myśl o opuszczeniu domu. – Skarbiec wciąż nie jest pełen, a Mals i Aksis jeszcze nie wróciły.

– Czy to znaczy, że...

– Tak. Jutro muszę znowu wyruszyć – przyznała niechętnie Zirra. – Kazar potrzebuje białopyłu, a nie znam lepszego miejsca, gdzie można go szybko zdobyć.

– Ale to będzie ostatni raz w tym sezonie?

– Mam nadzieję – skłamała Zirra z ciężkim sercem. – Znalazłam coś na Zakazanej Pustyni, ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz.

Na wzmiankę o tajemnicy oczy Seivy zaślniły, na ustach pojawił się psotny uśmieszek.

– Opowiadaj – powiedziała ściszym głosem.

– Ruiny. – Zirra przecesała ciemne włosy, które rozpaczliwie potrzebowały szczotki.

– Ruiny? Niemożliwe. – Seiva wyduła policzki. – Na Erkal nikt nie mieszka. Stroisz sobie ze mnie żarty.

– Popatrz. – Pustynna wyciągnęła z torby taflę gwiazdoszka, na której uwieczniła obraz twierdzy. Seiva przesunęła palcami po powierzchni fulgurytu.

– Zanurzone w piasku. Jakby tonęły.

– Siostrzyczki bym nie okłamała.

– Mogłabyś... Mogłabyś mnie tam zabrać?

– Nie! Mowy nie ma! – odpowiedziała Zirra znacznie ostrzej, niż zamierzała. Przez moment zapomniała, że opuściła już pustynię i nie musi dłużej przekleństwami odpędzać od siebie wątpliwości oraz pełzającego robactwa.

Kretynka, stwierdziła w myślach.

– Przepraszam, siostrzyczko. Przywiozłam ci coś – powiedziała łagodniej, wyciągając z torby kupioną od Veiera bransoletkę. – Nosisz glif Wierności, więc...

Więc co? Zirra urwała w pół zdania, gdy zorientowała się, że właściwie nie wie, co powinna powiedzieć. Zapytać o imię wybranka? Pogratulować? Dowiedzieć się o dzień zaślubin? O własnej siostrze widziała mniej niż o zwyczajach pustynnych lisów i shavarów. Ta świadomość bolała znacznie mocniej

od jakiegokolwiek rany, a w tej kwestii Pustynna miała niemałe doświadczenie.

– Opowiem ci wszystko, kiedy wrócisz na dłużej – powiedziała Seiva, przyjmując bransoletkę, obdarzając ją najkrótszym ze spojrzeń. – Jest naprawdę ładna.

– Och. Oczywiście, tak. Tak będzie najlepiej. – Zirra odchrząknęła zmieszana. – A to znalazłam w ruinach. – Podała siostrze kulę z czarnego metalu. – Zabrałam ją specjalnie dla ciebie.

Tym razem oczy Seivy otwarły się szeroko, a na jej ustach pojawił się szczery uśmiech.

– Ależ cudo! – Przesunęła dłońmi po powierzchni kuli. – Metal wysokiej próby, to czuć. Żadnych skaz ani ubytków. Ten symbol nie jest wytrawiony, tylko odlany. Jest wspaniała! Dziękuję. – Seiva jeszcze przez długą chwilę przyglądała się kuli, całkiem ignorując bransoletkę. – Musisz wrócić na Zakazane Wydmy? Aksis mówiła, że na Starym Żmijowisku można znaleźć jeszcze duże łachy białopyłu.

Zirra pokręciła głową.

– Przykro mi. Muszę wrócić z pełnymi sakwami.

– Ale wrócisz, prawda? – Seiva przycisnęła kulę do piersi.

– A kiedyś zdarzyło mi się nie wrócić? – zapytała Pustynna, krzyżując ramiona.

– Raz się spóźniłaś o dwa tygodnie. Bałam się wtedy, i to bardzo. – Dziewczyna uciekła spojrzeniem w bok. – Ludzie zaczęli mówić, że trzeba szykować dla ciebie grób. Rada kazała przygotować ofiary pogrzebowe. Mówili, że zginęłaś.

– Zdrowo przesadzone plotki. – Na twarzy Zirry pojawił się cień bladego uśmiechu. – Nigdy bym cię nie zostawiła. Choćbym miała przejść przez Oko Erkal.



O zachodzie słońca siostry usiadły na dachu i w milczeniu jadły kolację. Seiva zręcznie posługiwała się dwuzębnym widelcem oraz łyżką, podczas gdy Zirra wołała łowić mięso oraz jarzyny kawałkiem placka. Pomimo pokrewieństwa różniły się od siebie prawie we wszystkim. Były jak wiatry, które nadciągały z przeciwnych kierunków, aby spotkać się ponad skrajem pustyni. Seiva bez trudu odnalazłaby się w miastach Dominium. Umiała biegle rachować, a na dodatek miała rękę do rzemiosła. Równie dobrze czuła się w warsztacie garncarskim, co w kuźni, gdzie tworzyła ozdoby, które kupowali głównie spragnieni egzotycznych towarów kupcy. Wiecznie ciekawska tego, co znajdowało się poza horyzontem, Seiva dusiła się w Kazarze.

Zirra natomiast urodziła się dla pustyni i żyła z tego, co odkrywała przed nią Erkal. Innego świata nie знаła i w istocie nie chciała poznać. Głównie dlatego, że nie wiedziałyby, co miałyby ze sobą zrobić. Nie potrafiła tkać ani wyplatać koszy, o uprawie roli czy pieczeniu miała mgliste pojęcie, a jej wiedza na temat ziół oraz zwierząt dotyczyła tylko tego, co rosło lub grasowało pośród wydm. Całe jej życie skupiało się na byciu Pustynną i poszukiwaniu białopyłu, aby wypełnić stojącą pośrodku Kazaru kolumnę.

Nic więcej, nic mniej, westchnęła w myślach.

Sięgnęła po butelkę. Alkohol był gorzki, palił w język, ale zapewniał głęboki, pozbawiony koszmarów sen. Zirra miała dosyć słuchania kobiecego szlochu, który nawiedzał ją na pustyni, gdy tylko zamykała powieki. Tę jedną noc chciała spędzić w spokoju.

Seiva w milczeniu sączyła napar z liści mięty oraz cukru.

– Nie chcę, żebyś tam szła – zaczęła, odkładając czarkę na bok. – To znaczy nie chcę, żebyś tam była sama.

– Mam oczy Erkal. – Zirra westchnęła i odłożyła flaszkę na bok. Najchętniej wypiłaby ją do dna i obudziła się dopiero nad ranem z paskudnym kacem. Kochała siostrę, ale nie lubiła tych rozmów. Zawsze kończyły się w tym samym miejscu. – Wiesz, co to znaczy. Tylko Pustynne potrafią znaleźć białopył, a potrzebujemy rudy, żeby opłacić daninę.

Powtarzam to od tak dawna, że sama chyba już w to uwierzyłam.

– Ale ktoś mógłby ci pomagać. Umiem strzelać.

– Wiem, ale to zbyt niebezpieczne. Wiesz, skąd mam te rany? – Zirra przesunęła palcem po oparzeniach na twarzy.

– Potknęłaś się. Kilka razy – odpowiedziała Seiva, nie patrząc siostrze w oczy.

– Zauważyło mnie dwóch rajtarów. Nie wiem, co oni tam robili, ale na pewno nie zabłądzili. Chyba myśleli, że dopisze im szczęście, znajdą trochę białopyłu i staną się bogaczami z dnia na dzień. Przeszło im, gdy ja się pojawiłam. Chcieli mnie... zabić. – Tak, to brzmiało znacznie lepiej niż gwałt. – Jeden wystrzelił mi w twarz. Chybił o włos.

– Z-zabiłaś ich?

– Inaczej bym do ciebie nie wróciła. Zabij albo giń.

Przykre milczenie opadło między siostrami niczym miecz. Patrzyły, jak pustynia tonie w głębokich cieniach, podczas gdy wierzchołki wydm wciąż płonęły szkarłatem zachodzącego słońca. Na granatowym niebie skrzyły się już pierwsze gwiazdy, szeroka wstęga migotliwego srebra wylaniająca się zza wschodniego horyzontu. Wiatr niósł ze sobą chłód zbliżającej się nocy oraz nawoływanie pustynnych lisów.

– Chciałabym ci jakoś pomóc, Zi.

– Pomagasz, i to bardziej, niż ci się wydaje. Jesteś bardzo dzielna, maleńka.

– Już nie taka maleńka – odpowiedziała Seiva z udawanym oburzeniem.

– Dobrze, już dobrze. – Zirra pociągnęła łyk alkoholu. Zmrużyła białe oczy i spojrzała na ostatnie plamy krwawej czerwieni, które pozostawił po sobie dzień. Jeszcze kilka chwil i noc pochłonie resztki światła tak, jak Erkal spija krew zabitych.

– Zi?

– Tak?

– Czy... Ja... Nie mówiłam ci o zaręczynach, bo Ervig nie jest z Kazaru. Pochodzi z za solnisk. Z Onteros.

Z Dominium, dopowiedziała w myślach Zirra.

Zacisnęła wargi, a prawa dłoń odruchowo zwinęła się w pięść. Pustynna przez moment walczyła z chęcią, aby kategorycznie zabronić Seivie małżeństwa z cudzoziemcem. Miała do tego pełne prawo jako najstarsza żyjąca krewna. To właśnie ludzie tacy jak Ervig byli odpowiedzialni za wszystkie nieszczęścia, jakie spadały na Zirrę. Przez nich musiała spędzać większą część roku na pustyni, wygrzebując spod piachu biały, aby zaspokoić żądania poborców podatkowych. Z Dominium pochodził Kenes oraz rajtarzy, którzy próbowali ją zabić na pustyni. Seiva nie powinna wiązać się z takimi kreaturami. Tak było dla niej lepiej.

– Jest dobrym człowiekiem? – zapytała w końcu, patrząc gdzieś w noc.

– Wyrozumiałym.

– Dobrze. Wyrozumiałych łatwiej się patroszy.

– Zi!

– Wiesz, co robisz. Chyba lepiej niż ja. – Zirra postarała się o zmęczony uśmiech na twarzy. – Cieszę się, naprawdę.

Najpierw chciałabym się z nim zobaczyć. Powiedzieć mu kilka rzeczy o należytym traktowaniu mojej małej siostrzyczki. Spokojnie. Nie spłoszę go i zachowa wszystkie zęby. Słowo.

– Zi.

– Tak?

– Myślałam, że się nie zgodzisz... – Seiva się zawahała. – Bo jest z Dominium. Wiem, że ty ich nie znosisz.

Zirra wzruszyła ramionami w odpowiedzi. Co miała odpowiedzieć? Prawdę? Że najchętniej zabroniłaby siostrze wyjść za mąż tylko dlatego, że bała się zostać sama w pustym domu? Miała ją trzymać w Kazarze, aż Seiva przestanie marzyć o życiu poza wioską na skraju świata? Aż zadowoli się tym, co da jej pustynia? Zgryzotą, powolnym usychaniem i ochłapami.

– Musi mieć jakąś wadę – stwierdziła z wymuszoną lekkością. – Szkoda, że tak dużą, ale jakoś to przeżyję.

– Wstanę jutro przed świtem – szepnęła Seiva.

– Po co?

– Przygotuję prowiant i odprowadzę cię do bramy.

– Nie musisz.

– Ale chcę.

Seiva przytuliła się do siostry, a ta objęła ją mocno. Jeszcze długo siedziały w milczeniu, otoczone chłodnym oddechem nocy. Miały sobie tyle do powiedzenia, ale brakowało im słów.

Rozdział III

Coś, za co warto umierać

Eristi

Martwi kroczyli między żywymi. Procesja Wszechśmierci maszerowała ulicami Wysokiego Miasta w Onteros. Wiła się niczym ogromny wąż okryty tysiącem wielobarwnych łusek. Powietrze wypełniał śpiew oraz łomot bębnow, który rozbrzmiewał pomiędzy smukłymi wieżami mieszkalnymi. Mozaika jaskrawych ubrań, las tyczek obwieszonych modlitwami spisany na skrawkach papieru, dym z setek kadzideł, spływająca po twarzach krew, wszystko to tworzyło spektakl, od którego trudno było oderwać wzrok. Dlatego mieszkańcy Onteros patrzyli w milczeniu, zszokowani i przerażeni zarazem.

Pochód składał się w przeważającej części z ludzi, na widok których zwykle odwracano wzrok. Chorzy, pokryci wrzodami, okaleczeni, wykrzywieni przez wiek oraz choroby żebracy, szaleńcy i biedacy, lgnęli pod sztandary Wszechśmierci. Okaleczona Bogini wyciągała swoje kościste dłonie po wszystkich i nie odtrącała nikogo. Każdy musiał kiedyś umrzeć, a jej wyznawcy pomagali godnie doczekać tego błogosławionego momentu.

Na czele pochodu sunęła ociekająca złotem i srebrem platforma, oparta na barkach przygarbionych ludzi. Głowy tragarzy zostały obwiązane tkaniną, a ich szkarłatne stroje pozostawiały po sobie szlak połyskliwej czerwieni. Kiedy procesja wyruszała z bramy Wysokiego Miasta, szaty mężczyzn były nieskazitelnie białe. Z czasem nabiegły krwią. Przepocone worki z każdym oddechem lepily się do ciała, ukazując wykrzywione bólem twarze. Tragarze przypominali umarłych, których przygoto-

wano do pogrzebienia w piaskach pustyni. Szczyt platformy zajmował rząd roślących figur, odzianych w pancerze z czystego białopyłu. Inkrustowane kamieniami szlachetnymi oraz złotem zbroje zdawały się płonąć w promieniach zachodzącego słońca. Spod hełmów spoglądały surowe, pozbawione życia twarze, kamienne maski oraz naga kość.

Pochód zatrzymał się pośrodku Alei Blasku. Zachodzące słońce wisiało teraz za plecami stojących na platformie Relikwiarzy i Relikwii, a tam, gdzie kończyły się ich cienie, czekał tłum ludzi pod wodzą odzianego w biel i złoto kapłana. Ostatnie smugi dnia lśniły na wyszywanych złotą nicią proporcach przedstawiających słońce Dnia Niezwycięzonego. Od niepamiętnych czasów władcy Dominium oddawali hołd gorejącej armii, która niczym promienie słońca zstąpiła przed wiekami z niebios, aby poprowadzić ludzkość przeciwko Potępionym. Ostatnio jednak Wszechśmierć coraz częściej pojawiała się pośród dzielnic biedoty, rozprzestrzeniając się niczym zaraza.

– Dosyć! – zawołał gromko brodaty kapłan, unosząc kostur zakończony słonecznym dyskiem. – Dosyć! Ani kroku dalej!

Bębny nie przestały grać, ale ich rytm wyraźnie zwolnił. Platforma zatrzymała się, po czym osunęła się w dół. Tragarze opadli na kolana.

– Nasze miasto ma dosyć tego... przedstawienia! – Starzec z kijem ruszył naprzód, pociągając swoich wyznawców w cień upiornych postaci. – Sprowadzacie chorych i przeklętych pomiędzy zdrowych! Niesiecie śmierć! Dość, że ją sławicie! Dość tolerowałem obecność Wszechśmierci w Onteros, ale teraz macie czelność wprowadzać żebraków do Wysokiego Miasta?! Ich miejsce jest tam, w rynsztokach! – Palec kapłana wskazał na rozciągające się poniżej rzędy ciemnych, pokrzywionych kamienic, które tworzyły Niskie Miasto. – Precz!

– Precz! – zawtórował tłum za jego plecami. – Precz z biędotą!

Odpowiedziało im jedynie powolne bicie bębnów. Rozjuszony brakiem reakcji brodaty mężczyzna uderzył kosturem w bruk i powiódł roziskrzonym wzrokiem po nieruchomych Relikwiarzach.

– Odejdźcie! – rozkazał.

Zgromadzeni wokół platformy nędzarze zaczęli się cofać. Bębny umilkły. Śpiew obumarł.

– Odejdźcie! – powtarzały setki głosów. – Odejdźcie, odejdźcie, odejdźcie...

Powietrze przeciął drwiący śmiech, ostry jak miecz, chłodny jak stal.

Eristi zeskoczyła z platformy i z chrzęstem białopyłowego pancerza wylądowała na bruku. Wyprostowała się powoli. Jej postać rzucała długi cień, który niczym włócznia przeciął stojący przed nią tłum ludzi. Wyznawcy Dnia Niezwycięzonego zafalowali niespokojnie, gdy Eristi zbliżyła się do starego kapłana. Jej twarz była zarazem piękna i fałszywa. Lekko pociągłe, podkreślone czernidłem oczy oraz pełne uśmiechnięte usta kusily zmysłową obietnicą. Nic jednak nie było w stanie ukryć faktu, że oblicze to było równie nieruchome, co pośmiertna maska. Wyrzeźbiona z wosku twarz z odległości przypominała ludzką, ale z bliska budziła niepokój.

W przeciwieństwie do swoich braci w wierze brodaty kapłan nie cofnął się nawet o krok. Stał dumnie wyprostowany z kosturem w dłoni. Ale był tylko człowiekiem. Wyjątkowo delikatnym człowiekiem.

– Nie przestraszysz mnie! – oznajmił. Za jego plecami wyznawcy Dnia Niezwycięzonego odzyskali odwagę i zwarli szyk.

Nieśli ze sobą berdysze, spisy oraz topory, które załśniły krwawym blaskiem w promieniach umierającego słońca.

– Nie mam takiego zamiaru. – Głos, który popłynął zza nieruchomych ust maski, był miękki i łagodny, pełen zrozumienia.

– Będziemy stać. – Starzec rozpostarł szeroko ramiona. – Nie przejdziecie.

– A jeżeli to mnie nie powstrzyma? – Niedbałym ruchem dłoni Eristi odgarnęła ciemne włosy, które opadały kaskadą na skrzzące się naramienniki.

– Nie ma takich słów, które zmuszą mnie do przelania krwi lekką ręką. Ale jest wiele słów, za które gotów jestem umrzeć.

– Nie wątpię.

Eristi położyła pancerną dłoń na piersi starca i jedynym ruchem przebiła go na wylot. Kapłan wrzasnął przeraźliwie, ale jego krzyk natychmiast utonął w fali spienionej czerwieni, która wypłynęła mu przez usta. Relikwia wyszarpnęła zakrwawione ramię z ciała i strzaskała głowę stojącego najbliżej mężczyzny. Mózg wypłynął między palcami pancерnej rękawicy. Kolejny wyznawca Dnia Niezwycięzonego zasłonił się metalowym puklerzem. Nie zginął od razu. Uderzenie pięści wygięło tarczę i z trzaskiem złamało kość. Mężczyzna upadł na bruk, wyjąc z bólu. Umilkł, gdy podkuta podeszwa zmiażdżyła mu gardło.

Niczym żmija Eristi uchylili się przed ciosem topora i złapała otwartą dłonią ostrze miecza. Metal zazgrzytał o metal, a klinga wygięła się, jakby została wykuta z miedzi, a nie z żelaza. Relikwia chwyciła atakującego i cisnęła nim ponad balustradą. Mężczyzna z przenikliwym wrzaskiem zniknął za krawędzią barierki. Jego skowyt przerwało dopiero uderzenie

o kamienice Niskiego Miasta. Eristi z gracją ominęła ostrze berdysza, które miało roztrzaskać jej głowę, i zachwiała się nieznacznie, gdy kolec spisy trafił ją w pierś, ale takie uderzenie nie mogło jej powstrzymać. To byli tylko ludzie. Wyjątkowo delikatni ludzie. Złamała drzewce i wbiła odłamek styliska w brzuch przerażonego kapłana o szeroko otwartych oczach i jeszcze szerzej otwartych ustach. Moment później dzierżący resztki spisy człowiek przewalił się przez balustradę i spadł na rozpościerające się poniżej ulice dzielnic biedoty.

Walka, a raczej masakra, nie trwała długo. Wyznawcy Dnia Niezwycięzonego porzucili oręż, pozostawiając na Alei Blasku ciała kilkunastu towarzyszy oraz przesiąknięty krwią sztandar, który przybrał kolor zachodzącego słońca.

Eristi otrzepała rękawice.

– Kilku fanatyków mniej – stwierdziła z zadowoleniem.

Na jej naramienniku usiadł czarny ptak o czterech skrzydłach. Rechetnik pokręcił głową na boki, po czym zaskrzeczał:

– Jestem w Kazarze. Wciąż na was czekam. Przybywajcie szybko, zmyślne bestie.

Eristi delikatnie pogłaskała ptaka, zlepiając jego pióra krwią.

– Dziękuję.

Rozdział IV

Po drugiej stronie lustra

Wielooki

Czerwone Lustro. Samotna tafla szkarłatu oprawiona w ciemność. Oprócz niej nie istniało nic. Sprawdził to tak wiele razy. Nigdy. Biegł w nicość. Jak długo? Tego nie potrafił ocenić w tym więzieniu bez słońca oraz gwiazd. Nie męczył się, więc liczył kroki. Sto. Tysiąc. Dziesięć tysięcy i dalej, aż musiał zwolnić do marszu, aby nadążyć z wymawianiem kolejnych liczb. Szedł coraz wolniej w zimną, pulsującą ciemność, aż zabrakło mu słów. Kolejny krok byłby krokiem w nieznane. Mimo to parł dalej. Pierwszy krok w nieznane, drugi, trzeci, dziesiąty, setny. Liczył od nowa. Obrócił się dopiero wtedy, gdy dotarł do kresu znanych sobie liczb po raz piąty.

Czerwona tafla lustra stała tuż za jego plecami.

Oparł hełm o chłodne szkło. Dawniej tłukł w nie pięściami, najpierw z gniewem, później z rozpaczą, aż wreszcie pozostała mu tylko rezygnacja. W końcu stracił i to. Resztką uczuć wyparowała z niego... Kiedy? Ile trwała ta tortura?

– Kiedy? – wychrypiał.

To słowo, podobnie jak wszystkie inne, było pozbawione znaczenia. Kiedyś starał się rozmawiać ze sobą, aby nie zapomnieć, jak brzmiał jego Dyktat. Był wyjątkowo staranny w powtarzaniu wspomnień, ale gdy rozpoczynał opowieść od nowa, kilka bezcennych słów ulatywało z jego umysłu. Przeszłość wyciekała z niego jak z pękniętego naczynia i rozplywała się bezpowrotnie w atramentowej otchłani. Wreszcie pozostała tylko skorupa, bezmyślnie powtarzająca ciąg równie bezmyślnych wyrazów.

– Białe... oczy... zabić... je...

Coś poruszyło się za lustrem. Wielooki przypadł do szkła i spojrział do wnętrza sali tronowej, która rozciągała się po drugiej stronie szkarłatu. Czasami na bogato zdobionym siedzisku zasiadał posępny mężczyzna, aby wysłuchiwać próśb stojących przed nim ludzi. Kiedy indziej pod lustrem zjawiał się ciemnowłosy chłopiec i rozkładał na kolanach księgę. Wielooki był tak blisko, że mógł rozróżnić poszczególne litery na pergaminowych stronach. Kiedyś znał wiele języków, ale teraz nie potrafił sobie przypomnieć choćby jednego znaku. Byli też inni. Barczysty młodzieniec w doskonale skrojonym mundurze, jednooki mężczyzna, sędziwy sługa i okryta srebrzystym pancerzem postać z czaszką zamiast twarzy.

Mijały lata, a Wielooki patrzył. Bezsilny. Pusty.

Uderzył pięścią w lustro. Pustkę rozdarł krzyk. Pierwotny, zwierzęcy ryk, który jeszcze długo odbijał się pośród nicości.